

JÓZEF LASOŃ.

BOHATER.

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Sądzisz, że stanie przed tobą człek silny, jak niedźwiedź, o szerokich barach, muskularnych rękach, postać nowożytnego Herkulesa, który gniew w twardej dłoni sztaby żelaza, uderzeniem pięści wołu kładzie na miejscu — aby go nazwać można bohaterem i aby czynu, godnego tej nazwy, dokonał.

I zdziwisz się okrutnie, dziecka postać zoczywszy; stoi przed Tobą, w siwy mundur ubrany, na piersiach chlubna oznaka żołnierska zawieszona — medal. Nie złamie ci on w wątlach, drobnych dziecka dłoniach podkowy, nie zabije uderzeniem pięści wołu — ale dokona czynu, którym chlubi się cały naród, kartę historii Polski złotem pisze słowami. To pacholę — krew polska — legionista drugiej brygady.

Wstap w porze obiadowej w gmach departamentu wojskowego, wejdź do sali jadalnej, stań ukradkiem, by oko biesiadnika nie dostrzegło Cię, zobaczysz srogie żołnierskie postacie, przysłuchasz się niejednej ciekawej opowieści.

Zobaczysz, jak obsiedli stoły, poschodzili się z rozmaitych komend, biur wojskowych, rozmaitej broni koledzy, bo choć na etapie obecnie, każdy swój mundur strzeże i chroni. Ten ci Beliniak, wysoki, w czaku ulańskim dość pocieszenie wyglądający, za nic nie wdzieje innej czapki, gdyż mimo, że obecnie skazany do służby etapowej, w duszy spisek knuje, że lada chwila ucieknie „do swoich”, bo służba etapowa, u niego — nic. I tak każdy. Zebrała się ta mieszanina wszystkich pułków, batalionów, przy departamencie służbę mając. Służba liniowa wyczerpała ich, a etap — to odpoczynek żołnierski. Nie masz ci większej serdeczności i przyjaźni, jak między nimi, ani też zdrowszego humoru. Rozparł się Beliniak przy stole, patrząc na zajądającego wściekle artylerzystę, śmiejąc się rubasznie, mówi do niego:

— He! Dobrze żarcie! „W cywilu” kolega nigdy tego nie jadł.

Salwa śmiechu przy stole i już ci inni pochwycili i drugim przy stole dogadywać.

W pewien dzień zawitał do stołu chłopczyzna mały, rozpiął kurtkę, na piersiach mignął srebrny medal waleczności. A że serdeczność między nami jest — toć i języki pracować poczęły, aby się dowiedzieć, kto on, jak, gdzie i za co, odznaczony.

Ot, króciutka historia, jak setki i tysiące innych:

— Pierwszego czerwca 1915 roku — począł opowiadać Maciś — wyruszyliśmy z Prutu do ataku. Po trzykroć nocą szturmem chcieliśmy wziąć pozycje moskiewskie, dopiero za trzecim razem udało nam się przerwać linię Moskalom. Z rannym brząskiem następnego dnia, z pułkownikiem Zielińskim na czele, ruszyliśmy naprzód. Kozactwo pierzchno przed nami, paląc i rabując, cokolwiek w ręce ich wpadło. Czwartego czerwca przybyliśmy do wsi R., zabierając kilkanaście wozów trenowych i trzy wozy amunicyjne. Zapowiedziano nam odpoczynek trzygodzinny, rozdano zdobyte rosyjskie konserwy i chleb, poczem nastąpił odmarsz w linii tyralieriskiej, w kierunku Rokitny. Nie zdołaliśmy przejsć dwóch kilometrów, gdy nagle odezwały się salwy artylerii rosyjskiej, jak również karabiny maszynowe. Powoli i ostrożnie posuwamy się naprzód, wtem padają dwa pociski armatnie. Zostałem ranny w pierś, wraz z czterema obok mnie maszerującymi kolegami. Podniosłem się z ziemi, ogłuszony, spostrzegłem rannych, wijących się w bólu kolegów i spojrzałem na mój mundur. Był na piersiach poszarpany, strzępy były pokrwawione. Rozglądam się wokół, linia tyralierska posunęła się dość daleko odemnie, bez namysłu prawie pospieszyłem naprzód. Gdy przypadli do ziemi, podbiegłem mimo gradu kul i złączyłem się z kolegami. Sięgnąłem ręką do kieszeni, aby wydobyć bandaż, przypadkowo wyleciał mi notes. Podnoszę go, w środku zabłąkana kula, która przeszła mi piersi, utkwiała w tekturowej okładce. Podziękowałem Bogu, i na głos komendy podsunęliśmy się pod pozycję nieprzyjacielską. Znowu silny ogień artylerii, padamy plackiem, szybko okopując się. Nadeszła noc ciemna, na dwa kroki przed sobą nic nie widać. Zamyśliłem się nad dziwnym moim ocaleniem, nagle wezwał mnie komendant kompanii, abym się stawił do pułkownika Januszajtisa.

— Weź, sobie Maciek — dał rozkaz pułkownik — czterech ludzi, idź na patrol pod okopy rosyjskie, masz się podsunąć jak najbliżej — rozumiesz?... — Według rozkazu! — wyciąłem ostro obcasami, wybrałem z mojego plutonu czterech ludzi, wyruszyłem natychmiast w drogę.

Ostrożnie doszliśmy do płynącego opodal potoku, za którym były już okopy moskiewskie. Nagły szmer zwrócił nam uwagę. Wyjrzelśmy zza górki — ognisko jakieś palili. Spoglądaliśmy w milczeniu, wychylając głowę, gdy nagle straszny huk ogłuszył mnie, siła wybuchu powaliła na ziemię! Moskale urządzili nam niespodziankę. Trzech moich kolegów trupem padło, czwarty ciężko ranny wił się z bólesci. Niewiele myśląc, przekładałem karabin przez ramię i biorę rannego pod rękę, ciągnąc go pomału ku ścieżce, aby się ochronić od gęsto padających kul. Nagle zrobiło się jasno, jak w dzień i mój towarzysz dostał kulę w głowę. Wpadł mi z rąk. Nic nie słyszałem, byłem tem tak oszołomiony, nie zdając sobie sprawy z niczego. Dźwięczało i szumiało mi w uszach, pochwyliłem karabin w ręce, chcąc nawrócić ku swoim. Zdała zobaczyłem nasze wedety, szedłem jednakże naprzód, nie słysząc głosu zatrzymujących mnie wartowników. Doszedłem o jakie cztery kroki od wedety, bzyknęła mi kula koło uszu. To nasza wedeta wystrzeliła. Przypadłem ku ziemi i na moje szczęście zaraz nastąpiła zmiana placówki, która mnie zabrała z sobą. Zaprowadzono mnie do pułkownika Januszajtisa, zdałem obszerny raport, pisząc na kartkach papieru, gdyż chwilowo straciłem słuch i mowę. Po dwóch dniach leżenia w lazarecie odzyskałem słuch i mowę, natychmiast zameldowałem się do kompanii. No i 27 lipca zostałem dekorowany srebrnym medalem drugiej klasy, gdyż wywiad mój okazał się dobrym — kończył ze śmiechem mały Maciś — niestety, w niedługi czas potem, 17-go września, zostałem znowu ranny pod Rokitną...

— To pacholę — polska to krew — żołnierz drugiej brygady — bohater.



BEZIMIENNI.

Gdzieś tam pośród śnieżnych gór karpackich, pośród pustynnych stepów Bessarabii, na żyznych ziemiach Królestwa Polskiego — pochowano żołnierskie ciała, wraz z nazwiskami. Wiedzano, że ktoś dokonał bohaterskiego czynu, śmierć objęła go zimnym uściskiem, pochowano, lecz kto, zapomniano. Długi wieniec ciągnie się po przez Polskę rycerskich czynów — bezimiennych bohaterów — plon. Nie znajdziesz ciała w grób rzuconego — trawa porosła na kurhanach — nie wygrzebiez nazwiska z otwartych kart historii — wspomni jedynie czasem stary jego druh, lecz i jemu niepamięć zagubi imię, nazwisko.

Roku pańskiego 1914 żołnierz-Legionista drugiej brygady, pacholę, które uciekło z pod skrzydeł matki, przez parę miesięcy walk zahartowało się na trud i bój, stało się dzielnym żołnierzem, marząc ciągle by urosło tak duże, aby większe było od z ochotą niesionego karabinu, zabłądziło do Nadwórny, nie wiedząc, że rozsiedli się tam Moskale. Podchodzi do pierwszej chaty, wyszła przeciw niemu stara kobieta i rzekła:

— Uciekajże, uciekajże! Moskale u mnie w chacie!

— A wielu ich? — przerwało pacholę.

— Ośmiu!

— E... ośmiu, to głupstwo! — nałożył błyskawicznie bagnet na karabin, wkroczył do chaty śmiało i zabrał ośmiu niewolnika, chłopów rośliwych, tegich.

Odprowadził jeńców, oddał w ręce przełożonych, sam znikł w kompanii. Utonęło jego nazwisko — pozostał jednak czyn, który przejdzie z ust dziada do ust wnuka.

Ze kilku Legionistów opierało się nieraz batalionom rosyjskim, świadczą o tem Krzywopłoty, szeregi walk na ziemiach Królestwa i śnieżne Karpaty i pustynna Bessarabia. Jak jeden z kapitanów z dwoma szeregowcami bronili okopów, wyszli z walki zwycięsko i cało, za co zostali obdarzeni złotymi medalami, jak przy atakach walczone pierś o pierś, kułakami, pięściami rażąc wroga — toż wiadoma powszechnie rzecz.

Na wspomnienie Sammosiery — rośnie serce pol-

skie, na wspomnienie Rokitny, szarzy kawalerii Wąsowicza — drży serce i dumą się napętnia.

Przez dziesięć blisko miesięcy jeden z oficerów w armii rosyjskiej, Polak, usiłował przekraść się do swoich, wstąpić do Legionu, aż wreszcie udało mu się ten wymarzony cel osiągnąć.

Z jaką radością, z jaką wesołością niósł w dłoni karabin — trzeba to było widzieć.

I w pierwszej bitwie padł.

W wściekłym ataku na Moskale szedł w pierwszym szeregu, odwagą swą drugim dodawał otuchy, głuchy na świst kul karabinowych, nieczuły na błyszczące coraz bliżej ostrza bagnatów.

Ze padł, cóż? Ale okopy zdobyto, choć już zwycięstwo wymykało się z rąk Legionu... Ten, który przechylił szalę zwycięstwa, legł — spełniwszy swój żołnierski obowiązek.

Nazwisko?!

O nazwisko mniejsza! Nie odgrzebiez go z popiołu, nie wydrzesz ciała ziemi — został czyn i karta świeża historii.

Nie wskrzeszą ciała poległych, nie dadzą im życia odnaczenia, zaszczytne pochwały, głosy uwielbienia... Ale nikt i nic nie zatrze czynu, który trwać będzie wiecznie...

Dziwne to, a jednak najtwardsze serce żołnierskie rozplacze się w takiej chwili, gdy malec, dziecko przychodzi i płacząc rzewnymi łzami mówi:

— Weźcie mnie w szeregi! Chcę się za Polskę bić! Weźcie mnie!

I prosi, błaga, przekonywa o swej sile i wytrzymałości, wmawia w siebie i drugim, że żołnierskie trudy zniesie — byle go tylko wziąć! Ze z rozpaczą życie sobie odbierze, a tak chciałby je na ołtarzu wolności Ojczyzny złożyć!

I to jest codzienna historia chwili dzisiejszej... Z takich dzieci rodzą się bohaterzy — często nieznanzi, bezimienni, których czyny jednak będą żyć na kartach historii — czyny, zapisane krwią na pustynnych stepach Bessarabii, w śnieżystych górach karpackich i na urodzajnych, żyznych ziemiach Królestwa.



Przez ziemię polską.

(Z pamiętnika oficera).

Toczą się białymi płachtami kryte kolumny trenu przez pola zdeptane, poranione kraterami granatów, rowami strzeleckimi pokrajane...

Mijamy krzyżyki z świeżego drzewa z zatkniętą czapką żołnierską, na mogiłach przydrożnych z przedwczoraj...

Mijamy lasy, gdzie zamiast oddechu żywicy woń trupa wiatr niesie przez pnie świerków niebosiężnych, w pół złamanych siłą, od pioruna straszniejszą, białą starganych drzazg sterczących...

Mijamy cmentarzyska czarnych kominów, pełne wśród liści rdzawych kościanego chrzęstu. Pies między gruzami ze zjezoną sierścią chylikiem się przesunie i ścierwo świeże odkopawszy, krwawą paszczką targa...

Mijamy tabory bezdomnych szkieletów ludzkich przez końskie szkielety ciągnionych...

Mijamy miasta kamienne bez dachów i wież — nędzne domki i wspaniałe pałace, skąd bujna, bogata przeszłość uciekła, pozostawiając jedynie nagie, sterczące mury...

Mijamy dworki szlacheckie, życia klejnoty wczoraj, a dzisiaj wiejące pustką zgłiszcząca...

Toczą się wozy nasze przez pobojuwiska trupami zasiane. Wśród tej pustki zniszczenia i śmierci posuwa się kolumna szara o tysiącach oczu, co w tym ponurym mroku lśnią blaskiem ogników błędnych nad moczarami...

Mijamy szubienice: na sznurze kołysz się człowiek swą bezwładnością do szaleństwa straszny...

Mijamy kościoły zburzone, gdzie Chrystus w ołtarzu cierniem koronowaną głowę niżej jeszcze pochylał, na nową mękę wydany...

Mijamy zaklętą w męczarniach Duszę Narodu, oczekującą świtu lepszej przyszłości...

A nad tem wszystkim unosi się Bóg, w wyrokach swych niezbadany.

R. P.